

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty.

No. 9.

Leszno,
dnia 31. Sierpnia 1839.



Potwarca ukarany.

Po śmierci króla Ludwika postanowili Polacy wezwać na tron córkę jego najmłodszą, Jadwigę, i przybrać jej męża. Po berło, do którego przydawano rękę młodej i pięknej dziewczycy, sięgało kilku postronnych książąt. Pomiędzy innymi, zgłosił się także o nie młody już natenczas Jagiello, wielki książę litewski. Ofiary, które składał, tak były dla Polski korzystne, że naród posadził go natychmiast na tronie Piastów; a Jadwiga, kochająca i kochana od Wilhelma, księcia austriackiego, z skrwawionem sercem, zrzekła się dla dobra kraju najtkliwszych uczuć i oddała swą rękę Jagielle. Nie była atoli w swoim pozyciu z nim szczęśliwą. Pominawszy bowiem różnicę, jaka w wieku, obyczajach i skłonnościach między małżonkami zachodziła, Jagiello dręczył Jadwigę ustawicznemi podejrzeniami. A że na dworach nie braknie nigdy intrygantów, znalazł się i na zamku krakowskim pochlebca, który króla przeciw jego

cnotliwej małżonce podburzał. Imię tego niecnoty jest Gniewosz: oskarżył on Jadwigę przed królem o niewiarę. Oskarzenie to i skutki jego, tak nam opisuje tu kilkakroć Gwilelm do Krakowa miał przyjeżdżać, i widywać się potajemnie z nią. Królowa żądała powiadacza: powiedział król na Gniewosza. Gdy Gniewosz stanął, powiedział, iż słyszał od Gwilelma, iż je pokładano społu jeszcze dziećmi w Węgrzech. Królowa się do tego znała, ale ani tam, ani tu w Krakowie nigdy tego nie było, coby jej panieństwu miało szkodzić: gdzie dobrowolnie tego przed pany przysięgą poprawiła. W czym ją

„Natenczas też króla powadził z królową Gniewosz (Damalewicz), krakowski podkomorzy, śmiejąc to twierdzić przed królem, żeby miała królowa obcować pierwój z Gwilelmem, bywając z nim w klasztorze ś. Franciszka, i potem, żeby nieznacznie tu kilkakroć Gwilelm do Krakowa miał przyjeżdżać, i widywać się potajemnie z nią. Królowa żądała powiadacza: powiedział król na Gniewosza. Gdy Gniewosz stanął, powiedział, iż słyszał od Gwilelma, iż je pokładano społu jeszcze dziećmi w Węgrzech. Królowa się do tego znała, ale ani tam, ani tu w Krakowie nigdy tego nie było, coby jej panieństwu miało szkodzić: gdzie dobrowolnie tego przed pany przysięgą poprawiła. W czym ją

téż wyświadczał Jaszko Tęczyński, powiadając, iż będąc przy niej przez ten wszystkich czas, nigdy nic po niej takiego nie burzył. A tak Gniewosz był o to pozwan na sejm do Wislicy, który gdy tego dowieść nie mógł, co mówił, z dekretu królewskiego pod ławą to odwoływać, albo, jako pospolicie mówią, odszczekiwać musiał przed wszystkimi, ku swéj wiecznej hanbie.

Historyczne to zdarzenie podało P. Władysławowi i Antoniemu Oleszczyńskiemu, myśl do niniejszej ryciny, króla atoli bynajmniej nie poprawiło; dręczył on bowiem jeszcze swojemi podejrzeniami i czwartą małżonkę Zofią.

Świat i Poeta.

Powieść J. Kraszewskiego. W Poznaniu 1839.

Romans w ostatnich czasach zajął w literaturze europejskiej jedno z najcenniejszych miejsc. Dawniej był on tylko dziejami dwóch rozkochanych serc, które nareszcie niesłychane przygody i cierpienia, zwykłe, a zawsze monotonnie łączyły. Cervantes, Le Sage i Richter utworzyli z niego pierwszy narzędzie użyteczne do wychłostania hipokryzy lub poważnej śmieszności, tak całych korporacji, jako też pojedynczych osób. Dziś granice romansu rozszerzone zostały niezmiernie. Jego własnością jest historia, on uczy gospodarstwa, marynarki, administracji i Bóg wie nie czego. Zdaniem atoli naszem, ten rodzaj romansu jest najlepszym, najużyteczniejszym, który, zastępując dziś miejsce zarzuconej prawie satyry, ma na celu poprawę obyczajów. Zbliża się do tego rodzaju romans obyczajowy, malujący wiernie obrazy indywidualnego życia. W tym gatunku romansu, celuje u nas P. Kraszewski. Najnowszy romans jego, pod tytułem: *Świat i Poeta*, mistrzowskim piórem skreślony, jest tego dowodem. Obrazy w nim tak są wierne, tak naturalne, że czytającemu zdaje się, iż nie romans ma w rękę, ale raczej własnymi oczyma patrzy na prawdziwe zdarzenia i czyny w życiu poety, który, niestety, nie jest do życia praktycznego stworzony. Ośmielamy się zachęcać P. Kraszewskiego, aby napisał romans wątku, wziętego z życia narodowego. Jesteśmy pewni, że tak znakomity romanso-pisarz obdarzyłby literaturę naszą drugim *Don Quichotem*, *Idzیم Blasem*, *Djabłem kulawym*, albo *Iwanem Wyżygimem*, i tyleby dobrego, ale powszechniej, zdziałał, ile satyry naszych Opaleńskich, Krasińskich i t. d.

Tymczasem, nim to nastąpi, udzielamy czytelnikom Przyjaciela Ludu rozdział jeden z romansu: *Świat i Poeta*.

Autor opowiedziawszy poprzednio, jak młody poeta, wypchnięty z domu swego opiekuna, po kilku latach niebytności, zapragnąwszy znowu ujrzeć drogie sercu jego osoby i miejsca, zimno i

z wzgardą przyjętym od swoich krewnych został, wprowadza go powtórnie, ale już bogatym w dom jego opiekuna, i tak drugie odwiedziny te opisuje:

Drugie odwiedziny.

A ci, co z tobą teraz przestawają,
Twój się fortunie, nie tobie kłaniają.
Rochanowski. Ks. II. III.

A ja w szlafroku! krzyknął Pan Werner, porywając się z kanapy i biegnąc się przebrać, zobaczywszy przez okno świeży kocz, czterema pięknymi końmi zaprzęzony, zajeżdżający szumnie przed ganek.

Któż to jest? zawołała Pani Ostrowska, nieznajomy ekwipaż. — To gość z daleka!

— Nie rozumiem! przebaknęła Marynia, przyglądając się powozowi, uśmiechając się do siebie i myśląc: — pewno do mnie przyjechał!

Pani Werner prędko kazała pościagać kapki z krzesel, pył pościierać i zdjąć serwetę od kawy. Lokaje biegli się dowiedzieć, kto to taki. Pan Werner aż dwóch posłał, oba przybyli z wiadomością: pan Gustaw!

— Poszaleli! czy co? krzyknął stary, kręcąc peruką: pan Gustaw! takim koczem z liberyą! takimi końmi! osły!

Tenże sam głos dał się słyszeć w salonie! — To być niemoże! to być niemoże! Marya niespokojna trzęsła głową i patrzała w zwierciadło, nieukontentowana tą wiadomością. Pani Ostrowska szastając się po salonie z tabakierką, wypytywała się, czy to ten sam, co był niedawno?

— Ale to być nie może! zawołali wszyscy nareszcie! — I w tej chwili otworzyły się drzwi, a Gustaw wytwornie ubrany, śmiałym krokiem, mocno jednak zarumieniwszy się, wszedł do salonu. Pan Werner stał na progu drugiego pokoju w nowym fraku, przyczepiając dewizki do zegarka, i zobaczywszy Gustawa, a za nim zamykające się drzwi, poszedł się rozebrać. — Pani Werner przyjęła go czule, ale trochę zmieszana; Marya zimno, obojętnie, a dla odstręczenia od siebie, trochę pogardliwie; Pani Ostrowska z wytrzeszczonemi ciekawie oczyma.

Wszedł nareszcie P. Werner w szlafroku i zimno Gustawa przywitał. Potém pobiegł do okna spojrzeć na pojazd.

— Śliczny ekwipaż! Czyjże to Gustawie? zapytał.

— Mój! odpowiedział Gustaw zimno.

— Twój? zakrzyknął zdziwiony, odwracając się szybko od okna, a wszyscy spojrzeli po sobie. —

Cóż, zkądże to? wygrałeś w karty? co?

Nigdy nie gram! odpowiedział Gustaw; kupiłem go.

Ale zkądże wzięłeś pieniędzy? zapytał niecierpliwie P. Werner.

Mając taki, jak ja mam majątek, cóż dziwnego, że mam kocz i konie! — Podziwienie wszystkich rosło. Milczeli.

Ale z kądże znów masz majątek? zapytał Werner; jeśli sukcesya jaka, to i mojej żonie przypada połowa. A możesz się?...

Nie, nie jest to ani spadku, ani ożenienia skutkiem, odpowiedział Gustaw powoli, patrząc na Maryę, która wielkimi oczyma patrzała także na niego. — Sądziłem, że to być musi od dawna wujowi i cioci wiadomo?

Cóż? ale coż takiego? zawołali, P. Werner z podziwieniem, Pani Werner z radością.

Niema nic ciekawego, to później opowiem, rzekł Gustaw niedbale; wszak wuj pozwoli mi przenocować? Pan Werner już dzwonił z całej sily.

A jakże, jakże, kochany Guciu, konie do stajni! I wszyscy poruszyli się, szepcząc do siebie, ruszając ramionami, niepojmując nic jeszcze; Gustaw zimny, obojętny, chodził po salonie i nie patrzył nawet na Maryę, która zaczynała już być obrażoną jego obojętnością, wprzód tak usilnie pożądaną.

I jakże to było? i co to było? rzekł Pan Werner, natychmiast wracając. Powiedzże nam to, Guciu, jesteśmy ciekawi, cieszym się twojem szczęściem, mocno się cieszym.

Było to tak, odpowiedział nareszcie Gustaw głośno i powoli: Wyratowałem na ulicy od roztrącania końmi ubogą staruszkę; tą staruszką była hrabina N., która wygrawszy proces z dziećmi, zapisała mi darem majątek Wasilków.

Wasilków! krzyknął Pan Werner, chwytając się za perukę. Na Boga! pszenne grunta, rzeka! staw! 40,000 intraty przy dobrym gospodarstwie! Ej, toś ty bogatszy od nas!

I stał osłupiały. — Marya wyszła z pokoju. Pani Ostrowska już Gustawa częstowała tabaczką, Pani Werner go ścisnęła, a Pan Werner ruszał ramionami, chodził po pokoju i myślał sobie: gdybym był wiedział, byłbym tam Franciszka posłał na ratunek.

A gdzie jest brat Franciszek? zapytał Gustaw.

Na polowaniu! odpowiedziała matka.

Potem rozmowa powolna i żywa, na przemian tysięcy pytań, odpowiedzi, powieści, śmiechu i wszystkiego tam było przez wieczór, póki się nie wtoczył Franciszek ze swoim towarzystwem myśliwskim. Słychać go było zdaleka, a Pan Werner był jak na gorących węglach, lękając się, żeby zimnem przyjęciem Franciszek nie obraził nowego bogacza. — Bo myślał sobie, kto wie? błydy, chudy, może umrzeć bezdzietnie, my najbliżsi krewni! kto wie? — I tak ten samolub już swoje korzyści rachował w szczęściu Gustawa, już myślał, jak mu się przypochlebić, już dumiał nad wymysleniem pretensyi do niego za utrzymanie, za kosztą wychowania i t. d.; jak ci wszyscy, co się nigdy cudzem

szczęściem inaczej cieszyć nie umieją, jak wyciągając z niego dla siebie korzyści i widoki!

Franciszek nie sam był jeden; bracia Marmurki, Pan Bonifacy i Pan Trepsza, towarzyszyli mu. Z trzaskiem otworzyli drzwi salonu, a każdy z nich niósł w rękę zajęcia.

O! to polowanie! wykrzyknął wchodząc Franciszek; charty nasze popisały się należycie; trzy godziny, trzy zajęcia.

A moja chartka, rzekł Pan Trepsza, zawsze była na przodzie, i wodziła tylko resztę psów za sobą.

Co to zajęcia! odezwał się pan Bonifacy, łos, to zwierzyzna! W roku 1812, było to w jesieni —

Ubiłeś łosia! przerwał mu Franciszek; wiemy o tém dobrze. I zaczęli się witać wszyscy. Bracia Marmurki ukłonili się jednakowo i oba razem wszystkim, w takt jak dwie lalki poruszone jedną sprężyną, siedli obok siebie jednakowo się trzymając, mileząc, wyprężeni jak strony, uśmiechając się tylko za wspólną zgodą do P. Ostrowskiej, która wzięła na siebie obowiązki bawienia ich.

Ojciec porwał Franciszka nieznacznie na stronę.

Czemu się nie witasz z Gustawem, rzekł mu na ucho. Gustaw tu jest. Osobliwszym przypadkiem stał się bogatym, ma pół miliona majątku. Bądźże grzeczny dla niego.

Ożenił się?

I nie; potem ci to opowiem, rzekł ojciec; idź, idź się przywitaj! tylko serdecznie.

Franciszek, nie w ciemę go bito, skoczył tak namiętnie ścisnąć braciszka, że mało go nieudusił.

A! jakżem szczęśliwy, że cię widzę! jakże ci zdrowie służy? Utyłeś zdaje mi się? ślicznie wyglądasz; siadajże, proszę!

Wszyscy posiadali, patrząc z podziwieniem na to, a Pan Bonifacy odezwał się po cichu do Pana Trepsy:

Wszak to ten hołysz, co to był na polowaniu?

Ten sam hołysz, co moją chartkę zepchnął z kolan, jakiś fanatyk! odpowiedział P. Trepsza.

Milionowy pan! przerwała im po cichu przysuwając się Pani Ostrowska, czy nie wiecie? a! to awantura arabska! scena! ratował z pod koni na ulicy jakąś hrabinę i ta darowała mu ogromny majątek! a! awantury! kto by się to spodziewał!

Jemu? zapytał P. Trepsza.

Tak, jemu!

A! rozumiem! odpowiedział Pan Bonifacy, musiał — i kiwnął głową, dając do zrozumienia Panu Trepszy, z czego to z bogaceniem powstać mogło.

A! broń Boże! przerwała Pani Ostrowska. Wacpanowie to zaraz takie niegodziwe podej-



Kalwaryja.

zenia wymyślicie. To siedmdziesiątletnia kobieta!

Bywają przykłady! odpowiedział Pan Bonifacy; wiem właśnie jedną anegdotkę stosowną.

Daj temu pokój! rzekł Trepsza niecierpliwie; ot lepiej zaproponujmy mu wista. Możemy go ogrzać. Z rozegranej wyniknie faraonik; trzeba żyka drzeć. I zaraz rozpieczętował talia kart, podał Gustawowi cztery, jak zwykle do wyboru.

Ja nie grywam nigdy, rzekł Gustaw; długie ubóstwo nauczyło mnie oszczędności, — niebyło co przegrywać, teraz nie umiem.

Alé jako nie umieć, rzekł nalegając Pan Trepsza, dla kompanii! dla kompanii! to może jaką inną grę, — na prawo, na lewo — to bardzo łatwo, a wieczór tak długi.

W tym domu, rzekł Gustaw z uśmiechem, będzie mi się pewno bardzo krótki wydawał. Odstąpił przecie natręt; lecz mimo tego założył bankiek w nadziei, że się Gustaw do niego później przyłączy; — bardzo się na tém omylił. W położeniu Gustawa to było najśmieszniejsze, że nie bardzo jeszcze dawno, w tym samym domu, od tych samych osób, pogardzony, zapomniany siedział w kącie; teraz w jego osobie, oddawano podły hołd złotu, które do niego przyszło. O ludzie! pomyślał; o głupcy! trzeba być ubogim, ażeby poznać podłość waszę i nędzne rachuby, kryjące się pod zimnemi pozorami grzeczności. Teraz już mnie nie oszukacie, wiem ile wam wierzyć!

Ku wieczery przyszła Marya, w bardzo złym humorze, do salonu. Skarzyła się na ból głowy i nie chciała grać na fortepianie. Franciszek uczynny, ciągle ją zbliżał do Gustawa i żartował z nich; ojciec teraz już życzący go sobie całem sercem za zięcia, przypominał im wszystkie dzieje młodości, lecz oni oboje byli obojętni, — nic ich już nie wiązało. Nareszcie, niby przypadkiem, zostawiono ich samych przy fortepianie. Marya patrzyła w okno, Gustaw na salę — nagle obudził go z dumania dźwięk cichy fortepianu. Była to nótka bardzo mu znajoma, téj dawnéj dzieciennéj ich piosenki:

O mój aniele, pójdziem połączeni
Przez świat i życie, roskosz i boleści,
Jak powój co się na dębie zieleni,
I miękkim listkiem korę jego pieści!
Jak dwie lzy oczu, dwa piersi westchnienia,
Razem do życia i świata skończenia.
Ty ze mną zawsze, ja zawsze przy tobie,
Na świecie, w niebie i w grobie!

O mój aniele, pójdziem połączeni,
Przez świat ten zimny, przez życie bez celu,
Przez burze, lata i wichry jesieni,
Razem méj duszy luby przyjacielu,
Jak dwie lzy oczu, dwa piersi westchnienia,
Razem! o razem do świata skończenia,
Ty zemną zawsze, ja zawsze przy tobie,
Na świecie, w niebie, i w grobie!

I coraz ciszej, ustała piosenka i westchnienie Maryi zakończyło ją, a Gustaw mimowolnie w przeszłość przemiesiony, uniósł się ze łzą w oku w krainę marzeń i w niej zobaczył pierwszy pocałunek i dawną Maryą swoją. Lecz spojrzał tylko, — i urok pękł od razu — nie była to Marya z pod bzów kwitnących! Zbliżył się do fortepianu i jedną ręką, po cichu, zagrał na odpowiedź wesolą pieśń drugą:

Chódź mój motylu, chódź mój skrzydlaty.

Zaprzęgam ciebie, wierz mnie wysoko!

Lećmy na łąki, lećmy na kwiaty,

Gdzie zechce serce, upatrz oko,

Przez wszystkie nieba, przez wszystkie światy,

Nieś mnie daleko, nieś mnie wysoko!

Marya, od pierwszego uderzenia w klawisze, porwała się szybko, spojrzała i odstąpiła od fortepianu. Zrozumiała ona dobrze tajemną rozmowę, poszła do okna i dumać zaczęła.

Teraz w jej sercu kobiecem obudziła się miłość wzgardzona. Póki jej żądał biedny Gustaw, niebyło — teraz kiedy ją odpychał, wzrastała ze zgasłych popiołów. — Nie przypuszczam, niechęć wierzyć, boję się wnioskować, aby podły pociąg do złota, skierował sercem, lub postacią uczuć Maryi, jeśli w niej uczuć nie było już wcale. Postępowanie jej mogło być tylko zwykłą kobiecą naturze sprzecznością, a trudno téż zaprzeczyć, choć smutno wyznać, że przepych i powierzchowność, niewiadomym, magnetycznym sposobem często na uczucia téj natury wpływa. — Rozeszli się więc po téj muzycznej rozmowie, nie tak obojętni, jak trochę rozgniewani na siebie, a bardziej jeszcze zgody pragnący. Poznał Gustaw obudzające się w Maryi uczucie, i już powoli zaczął w niej upatrywać podobieństwo i toż samość z dawną Maryą swoją, tak dalece biedny, potrzebował drugiego młodego serca, któreby sercu jego biciem i uczuciem odpowiedzieć mogło.

Cóż to jest, żeście z Maryą tak na zimno? rzekł mu Franciszek cicho, — czy się gniewacie?

O! bynajmniej, odpowiedział Gustaw, lecz mógłś uważać, że tak samo było i za pierwszą razą, kiedy tu był.

Franciszek zagryzł usta. — Goście grali w karty. Ty nie grasz? zapytał Gustawa Pan Werner.

Nigdy!

Bardzo dobrze robisz; mogłoby to wejść w nałóg; często powtarzam Franciszkowi, że nic gorszego nad karty! Gustaw się uśmiechnął, pewny będąc, że wszystko, co teraz robi, będzie zawsze najlepszem. Chciał sam jeden podumać, ale mu niedano chwili spokojnej; wszyscy się go z kolei czepiali, a on uśmiechał się szersko, widząc te nadszokiwanie osobliwsze. Nawet Pan Trepsza gadał z nim o polowaniu, nawet Pan Bonifacy cztery razy opowiedział mu, jak zabił łosia w 1812 roku; nawet bracia

Marmurki kłaniali mu się z uśmiechem, nawet Pani Ostrowska ciągle powtarzając awantury, sceny, częstowała go tabaczką i opowiedziała mu z rzadką wytrwałością i ciągiem niezwykłym jej rozmowom, całą historią powszechną okolicy. I ona biedna chciała go usidlić, jeśli nie twarzą, na którą i pociemku nawet rachować nie mogła, to przynajmniej dowcipem.

Ledwie o północy dano mu zasnąć spokojnie, a jaką mu jeszcze Franciszek chciał na dobitkę uczynić przysługę, tego wam nawet powiedzieć nie mogę.

Kalwarya.

Do najciekawszych miejsc na drodze z Białej do Lwowa, należy bezsprzecznie sławne miejsce pielgrzymek pobożnych w obwodzie wadowickim, Kalwarya Zebrzydowska, tak po swym założycielu nazwana. Miejsce to rozróżniać należy od Kalwarii Paclawskiej, dwie mil od Przemysła odległej, zwłaszcza, iż to ostatnie co do bogactwa, piękności i wspaniałości kościołów i kaplic, jako też co do swego położenia i widoków, daleko niżej od pierwszego stoi. U stóp góry Kalwarii leży miasteczko Kalwarya, liczące 1800 mieszkańców, trudniących się tkactwem i rolnictwem. Otwiera się ztąd daleki widok na nadwiślańskie okolice, a żaden obcy i krajowiec nie wstępuje bez zachwycenia na górę Kalwarii, ten najwyższy cypel pasma przedgórz, składającego się z dawniejszego i późniejszego piaskowca i wapienia, między którymi jednakowoż pierwszy w znaczniejszej znajduje się ilości. Pomiędzy ciemnymi jodłami i sosnami, jakimi góra Kalwarii jest porośnięta, wystaje mnóstwo bielejących się kaplic, z których każda osobnej scenie z męki naszego Zbawiciela jest poświęcona; widok onychże wzbudza pobożne, religijne uczucie. Do tego to świętego miejsca pielgrzymuje corocznie mnóstwo pobożnych pielgrzymów z Galicji, Polski, Węgier, Szląska i Morawii, aby odprawiając swe nabożeństwo w tych świętych miejscach, wiarę swą wzmocnić, lub święte śluby wypełnić. Szczególniej wielkim bywa natłok ludu na Wielkanoc i w święta P. Maryi poświęcone, a mianowicie największym w święto Wniebowzięcia Maryi Panny. W takowych dniach liczono nieraz przeszło 30,000 pobożnych Chrześcian, którzy w dużych gromadach, częścią w otwartych miejscach lesistych spoczywają, częścią pojedynczo w zabudowaniach koło klasztoru lub w miasteczku znajdują przytułek. Po lesie rozlegają się od samego świtu do późnego wieczora nabożne pieńia pojedynczych processyj, zatrzymujących się przed każdą kaplicą i odprawiających przepisane nabożeństwo. Jestto widok, na jaki pewnie każdy czuciem obdarzony człowiek, bez wzruszenia patrzeć nie może.

Na szczególniejszą uwagę zasługuje tutaj wyobrażony klasztor Bernardynów z dużym kościołem, przy którym obecnie 16 braci zakonnych wraz z przełożonym żyje. Teologiczny naukowy zakład dla zakonników galicyjskich, miał tu od czasu swego powstania siedlisko, dopóki w r. 1830 nie został do Lwowa przeniesiony. W krużgankach klasztornych wiszą popiersia familijne Zebrzydowskich i piękny obraz świętego Franciszka w grobie, u którego stóp papież w nabożeństwie zatopiony klęczy; naprzeciw wielkiego ołtarza wisi obraz króla polskiego Władysława IV., który w r. 1621 po zwycięstwie chocimskim uroczyste dzięki najwyższemu składał, oraz i drugi obraz, przedstawiający odwiedzinę ś. p. zmarłego cesarza Franciszka.

Żałożycielem tego sławnego miejsca pielgrzymek pobożnych jest Mikołaj Zebrzydowski, wojewoda krakowski i starosta lanckoroński, który żałując za rokosz podniesiony, i chcąc przebłagać poległych w tej walce, wraz z żoną swą Dorotą Herburtową, tutaj kościół zbudować postanowił. W tym to celu przykazał dworzaniowi swemu, Hieronimowi Strzale, przedsiębiorcy właśnie pielgrzymkę do Jerozolimy, dla odwiedzenia grobu Zbawiciela, aby mu przywiózł rozkład budowniczy tamtejszego kościoła św. krzyża i Bożego grobu. Strzał powrócił nazad 1600 roku i przywiózł żądane rozkłady budownicze, poczem Zebrzydowski 4go października 1600 r. kamień węgielny do teraźniejszego kościoła położyć kazał. Koło budowy onegoż tak pilnie pracowano, iż już rok później, to jest 4go października 1601, stanął z ciosowego kamienia zmurowany kościół, który papieżki poseł na polskim dworze, Klaudyusz Rangoni, w przytomności krakowskiego biskupa, Bernarda Maciejowskiego, uroczyste poświęcił. Roku 1602 powziął Zebrzydowski myśl zbudowania klasztoru wraz z kościołem. Bernardyni, mieszkający wtedy w Radomiu, chętnie przyjęli wezwanie, a w roku 1603 poświęcił wspomniany już wyżej biskup krakowski, kamień węgielny nowej budowy. Aż do ukończenia onęże kazał założyciel wystawić drewniany budynek z pomieszkaniem dla 5. braci zakonnych. W owym czasie znajdował się w tej okolicy komissarz ziemi świętej, O. Chryzostom z Kopranczy, ten wiele podobieństwa między tym miejscem a Jerozolimą upatrywał. To było powodem pobożnemu założycielowi, iż podług rozporządzenia sławnego miernika i nauczyciela matematyki, Szczęsnego Zebrowskiego, podobne gmachy, jak ratusz Piłata i grób Chrystusa, w Jerozolimie wystawione, już dobudować kazał. Wewnętrzne niespokoje krajowe, oddaliły na trzy lata założyciela od swego miejsca ojczystego i były przyczyną, iż dopiero po swym powrocie w roku 1609 klasztor i resztę budynków OO. Bernardynom uroczyste mógł oddać. Całe założenie potwier-

dził król Zygmunt III. Aż do roku 1616 sam założyciel budową był zajęty, po śmierci zaś dokonał syn jego Jan wszystkie kaplice i budowy. Michał Zebrzydowski, również wojewoda krakowski, kazał kościół wraz z klasztorem rozszerzyć i powiększyć. Tyle nam dzieje o założeniu Kalwarii powiadają. Poniżej miasteczka leży wieś Zebrzydowice z klasztorem Miłosiernych braci, którzy się trudnią pielęgnowaniem chorych z okolicy.

Bitwa pod Kirchholmem.

(Dalszy ciąg.)

Dzień 27. Sierpnia 1605 roku był pogodny; promienie słońca w tysiącznych odcieniach odbijały się od świetnego, stalistego uzbrojenia; połyskiwały się oręż, wiatr igrał z piórami hełmów, cichość grobowa obległa szeregi, czekano tylko hasła. Widok wojsk, do bitwy uszykowanych, ma w sobie coś zajmującego, ponurego, wzniosłego, porusza wszystkie sprężyny czucia w człowieku. Ow ledzny stek ludzi jednako ustrojonych, jedną i tą samą ożywionych myślą, dobrowolnie życie, wszystkie swoje doczesne nadzieje narażających, zdumiewa oczy i rozum, wznieca w każdym szlachetny zapal i poświęcenie się w pośród tyłu; tu kres hartu moralnego dla każdego młodego, tu dopiero poznać może w całym świetle rzetelną godność człowieka, jako na progu wieczności. Mówimy zaś o walkach w obronie swobód prawdziwych, z własnego popędu ogółu prowadzonych; ubliżeniem byłoby te wzniosłe pojęcia stosować do rzezi, które przemoc dla osobistych widoków prowadzi, popychając gwałtem tłumy za lichą strawą.

Nim nastąpiła ogólna walka, trwały harce od godziny osmiej zrana do południa szczęśliwie dla Polaków, wszakże nieprzyjaciół z posady swojej występować nie chciał. Największa w tem trudność dla hetmana zachodziła, ponieważ na szwedzkie szyki, szeroko po górzystych miejscach rozstawione, z jazdą swoją, w której całe zaufanie położył, natrzeć bezpiecznie nie mógł. Niebezpieczno też było bitwę wałną dłużej odwlekać, ona bowiem rozstrzygnąć miała wszystko. Zeby więc z pagórków owych na przyległe i rozłożyste pola podstępem nieprzyjaciela wyciągnąć, nagle rozkazał zwinąć się swoim harcomnikom, wypuścił pułk ussarzy z poleceniem, ażeby tenże dotarli aż do samego szyku szwedzkiego, wkrótce cofał się, nigdzie nie dotrzymując, z początku powoli, potem w rozsypce, nakoniec ażeby w zupełnym nieładzie do swoich dopędził w przeznaczone miejsce, a to dokładnie zmyślając ucieczkę. Tak często powtarzanemu wybiegowi dał się jednakże uwieść zbyt popędliwy Karól, i skoro tylko pułk ten ussarzy zaczępiwszy kilka czworoboków szwedzkich, udawać począł ucieczkę, całkiem, jak gdyby od-

party i zniechęcony; natychmiast wykrzyknawszy: „a nie mówiłem, że Polacy uciekną;“ pomimo przedstawień generałów swoich, rozkazał całemu wojsku zstąpić z pagórków, z pośpiechem jak do pogoni, przez co szyk znacznie nadwężonym został. Tylko też na to czekał Chodkiewicz; zaraz więc za danym znakiem harcomnicy miejsca swoje zastąpili, rozciągnęły się ściśnione pierwsi szyki, stawiając równe nieprzyjacielowi czoło; na hasło do bitwy zagrzmiały wszystkie bębny i trąby, i aby korzystać z pierwszego nieładu Szwedów, pchnął hetman hufiec Wincentego Wojny na łamanie piechoty szwedzkiej, w czołe ustawioną, w pośród okrzyku całego wojska: „Jezus, Marya! śmierć Szwedom!“

Długo nieprzyjaciół stał jak mur nieporuszony, nasrożywszy całe czoło długimi kopiami, koląc zdala natarczywe konie, kiedy tymczasem muszkietnicy owi, gęstym jakby z za rogatki razili ogniem. Uszarze po wystrzeleniu z ręcznej krótkiej strzelby, jedni zapędem dzielnych koni trając, drudzy kopiami bodząc, inni dobytymi pałaszami drzewca nasrożone siekąc, rum sobie na złamanie szyku torowali; za nadbiegnięciem znowu kurlandzkiej jazdy, nadwężone już szyki szwedzkie łamać się poczęły; pękła nakoniec ta spisami utkana zaporą, śmierć walecznego Lindersona długo wątpliwą walkę rozstrzygnęła, który od ciężkich ran na nogach już utrzymać się nie mogąc, padł na kolana i jeszcze nim skonał kilku Polaków powalił. W tej wrzawie, Stygiel, który u Szwedów prowadził węgierską piechotę, ustępując powoli z bojowiska, z niedobitkami schronił się do bliskiego kościółka, gdzie zatarassowany mocno, przez okna i z dachu raził Polaków ze strzelby, dopiero widząc, że nie ujdzie, udawał Polaka mówią i począł swoich Węgrów mordować, jednak poznany wkrótce, ponieważ nie wachał się użyć tak okropnego podstępu, w sztuki rozsiekanym został.

Kiedy tak zacięcie bojowano w środku, Tomasz Dąbrowa, przywódca lewemu skrzydłu, w obawie, aby nie być wziętym z boku i korzystając z wiatru powstałego od morza, dym i piasek w oczy nieprzyjaciół miotającego, dzielnie natarł na jazdę Mansfelda, choć co do liczby wielce przeważną, takową rozproszył i ze szczętem zniósł i sam cudów mężstwa dokazywał; z jego to ręki poległ książę lüneburski, potykający się pieszo, bez hełmu na głowie, z mężstwem rozpaczy, aby przekonać, że nie jest trwożliwym, jak go niesłusznie wczora z naigrzaniem się posądził Karól.

(Koniec nastąpi.)

Bonawentura Kudlicz.

Znakomity ten artysta dramatyczny, w roku 1801 wszedł do teatru, zostającego wówczas pod zarządem Wojciecha Bogusławskiego.



Bonaventura Kudlicz.

Dziś ulubieniec publiczności, jest ciąglą jej rokoszą, i słusznie, bo kogoż gra jego naturalna i szlachetna do łez nie wzrusza w Teresie, Malwinie, Estelli, Trzydziestu latach życia szulera, Powrocie majtki, Pierścieniu? Kogoż do śmiechu nie zmusza, delikatna i wyższa komiczność: w Księżnie i Pażu, Fryderyce Brown, Braciach niezgodnych, Córce Faraona, Lektyce na sprzedaż? Słowem, ilebyśmy dzieł scenicznych wymienili, w których ten artysta się odznacza, tyle zarazem tryumfów gry jego naliczylibyśmy musieli, a spis ten byłby zbyt długim. Jakaz to rozmaitość charakterów, ileż delikatnych odcieni, mistrzowską grą jego oddanych!

Lecz nietylko jako utalentowany artysta położył on zasługi swoje dla sceny krajowej:

winna mu ona wdzięczność za ukształcenie tylu znakomitych dzisiejszych artystów płci obojgiej. — On wiódł pierwsze kroki w tym trudnym zawodzie: Daszkiewiczównę, Werowskiej, Kosteckiej, Jasińskiego, Panczykowskiego, Majewskiego, Baranieckiego, Karasińskiego. — Jeszcze niezmordowany tyloletnią pracą, ciągle gra i poświęca się ukształceniu młodzieży do zawodu, który sam miłując nadewszystko, najczynniej do wzniesienia i uszlachetnienia jego się przyczynia.

Jeśli Francya szczyci się Michotem, Poliem, Lepeinstrem starszym; Niemcy Ifflandem, Devriennem, Brockmanem; my śmiało szczyścić się możemy tym utalentowanym artystą, który niemylnie dzisiejsz jest jedną z najcelniejszych ozdób sceny naszej.

R. F....

U Ernesta Günthera w Lesznie dostać można dzieła następującego:

Koszyk kwiatów

dla dziewcząt cnotliwych, kochających niewinność,
czyli:

Historia pocciwego ojca i córki,

przez tłumacza Genowefy.

W Chelmnie i Toruniu 1837. — Cena złtp. 1. grp. 15, czyli 7 srbgr. i pół, i złtp. 2 czyli 10 srbgr.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. J. Łukaszewicz.)